



NUMER

MARCIN WOLSKI

Marcin Wolski

NUMER

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2023

ISBN: 978-83-67562-57-7

Copyright © Marcin Wolski

Projekt okładki: Karolina Lubaszko

Tekst: Solaris, Olsztyn 2002

I wydanie: KAW, Warszawa 1983

Od autora

„Numer” jest dzieckiem późnej „Sześćdziesiątki”. Trzynastcie odcinków radiowego serialu powstało między grudniem 1978 a marcem 1979. Wesoły magazyn, mimo działań cenzury, stawał się w tym czasie coraz bardziej audycją satyryczną. Prawie opozycyjną. Jacek Fedorowicz stworzył aluzyjną „Dyrekcję Cyrku w Budowie”, a ja uruchomiłem cykl „Antybaśni”. Pod skorupą PRL-u działał KOR i ROPCiO, należeliśmy do wiernych odbiorców podziemnej bibuły. Było już po wyborze Polaka na Papieża, a przed jego pierwszą Wielką Pielgrzymką. Atak zimy w noc sylwestrową obnażył bezlitośnie stan Gierkolandu, aspirującego do statusu Trzeciej Potęgi Światowej.

Jako autor wiedziałem już więcej o fantastyce niż w czasach „Matriarchatu” i „Świnki”, dostrzegałem w pełni możliwości, jakie daje kamuflaż SF dla pisania o problemach otaczającego nas świata. W konwencji realistycznej cenzura nie dałaby nawet pomyśleć, a co dopiero napisać, o antyutopii i idealnym Systemie, zaczynającym od szczytnych ideałów, a kończącym na terrorze, zniewoleniu człowieka, o świecie zamienionym w jeden wielki łagier.

Dziś z pewnością tak bym tego nie napisał. Dziś już wiem, że hasło „teoria fajna, tylko praktyka nie najlepsza” wymyślili cwani manipulatorzy, ponieważ zło kryło się już w samej teorii, w zwodniczym hasle Równości i w ryzykownym Kulcie Rozumu zamiast Boga. Wtedy jeszcze kołatały we mnie resztki lewicowych iluzji.

Sam pomysł był niejako autopolemiką z własnym pomysłem – numeryczności.

Kiedyś, jeszcze w liceum, wymyśliłem sobie taki system społeczny, pozornie idealny, w którym każdy człowiek znałby swoje miejsce w społeczeństwie, wyznaczone przez testy na inteligencję. Korciły mnie takie pomysły, kiedy indziej, wspólnie z kolegą, zacząłem wymyślać sztuczny język o nazwie... AMIRANDA.

Na szczęście studia i życie w PRL-u dały mi odpowiedni dystans do młodzieńczego pomysłu. Zrozumiałem, dokąd prowadzą „projektowane systemy”, że niekontrolowana władza absolutna może zdeprawować nawet Superkomputer. I tak utopia stała się antyutopią.

Oczywiście, pisząc „Numer”, nie wiedziałem, czym naprawdę jest komputer. Nawet kalkulatora nie widziałem na oczy. Stąd całkowicie dowolny stosunek do techniki. A fabuła? Właściwie stworzył ją przypadek. Początkowo miała być to krótka historia Jana Miliona, który przez przypadek został Dziesiątym. W drugim odcinku, aktor grający Miliona – Wieńczysław Gliński – zrezygnował. Poradziłem sobie, zatrudniając Tadeusza Rossa, znakomitego w parodiach, który podrabiał głos Miliona – Glińskiego. Niestety, okazało się po następnym odcinku, że wyjeżdża na tournée do Ameryki. Nie miałem aktora mogącego udawać Rossa parodiującego Glińskiego – stworzyłem bohatera pomocniczego, Dina.

I tak powstała kilkuwątkowa story, starająca się znaleźć odpowiedź na pytanie, nurtujące moje pokolenie – jak to się wszystko może skończyć?

Wszystko można w końcu sprowadzić do mniej lub bardziej korzystnej konfiguracji cyfr.

Rozdział I

Max zniknął dokładnie w tydzień po siedemnastych urodzinach Dina.

Zagadkowa sprawa. Jak mógł zniknąć najweselszy chłopak 1523 Kręgu, wysoki i muskularny blondyn – mistrz w grach i ćwiczeniach? Din, podobnie jak większość chłopców, podziwiał kumpla i trochę mu zazdrościł. Poza doskonałymi współrzędnymi numerycznymi Max był niezastąpiony jako partner w rozmowie. A w czasach, kiedy z ust młodzieży wyrwały się najczęściej onomatopieczne wykrzykniki emocjonalne, stanowiło to umiejętność rzadką, choć wedle wielu niepotrzebną. Bywało, kiedy pod dwóch godzinach wysiłkowni cały krąg relaksował się przed kolektywnym oglądnikiem, obaj przyjaciele siadali w kącie sali rekreacyjnej (jeśli można mówić o kątach w pomieszczeniu o kształcie elipsoidalnym) i dzielili się swoimi refleksjami.

– Wiesz, Din – zwierzył się tamtego dnia – nurtuje mnie pytanie, czy rzeczywiście nasze życie musi być bezalternatywne?

– Przecież nie jest, możemy do woli wybierać pożywienie, rozrywki, zainteresowania.

– Ale wyłącznie w granicach zakreślonych harmonogramami i numerycznymi współrzędnymi. A jeśli ktoś chce sięgnąć poza nie?

– Po co?

– Choćby tylko po to, żeby spróbować mieć niezależne zdanie.

– Co to znaczy mieć niezależne zdanie? – zdziwił się Din – Przecież jeśli działamy zgodnie z poleceniami naszych wychowawców, według wskazówek Odbiorników Indywidualnych, to znaczy, że wybieramy optymalny wariant postępowania. To coś, co nazywasz własnym zdaniem – gdyby nawet mogło istnieć – byłoby po prostu błędem, szkodliwą fantazją.

Max przez moment milczał, potem pokręcił głową.

– Tak mówi każdy. I to właśnie mnie zastanawia. Czy aby wszyscy mówią nam wszystko? Czy nigdy nie zastanawiałeś się, po co istniejemy, dokąd dążymy?

– Na takie pytanie natychmiast możesz dostać kompetentną odpowiedź – Din wskazał na Indywidualne Odbiorniki, kołyszące się na obrotach każdego z chłopców. Słyszac, że o nich mowa, drgnęły, a ich przygaszone oczka poczęły zwolna się rozjarzać.

– Dziękuję. Otrzymam encyklopedyczną odpowiedź, że życie jest realizacją niepowtarzalnego, osobistego numeru w czasie i przestrzeni. Będzie to, jak zwykle, odpowiedź jednoznaczna, aseptyczna, antykonceptyjna. Mówię ci, coraz częściej dość mam tego życia termita, który nawet wygląd własnego kopca musi przyjmować na wiarę.

W tym momencie oczko Indywidualnego Odbiornika Maxa spurpurowiało. Zawsze zmieniało barwę, reagując na polecenia swego nosiciela, rzadziej z własnej inicjatywy. Chłopcy zamilkli, oczekując na głos z pouczeniem, informacją bądź przestrogą. Automat jednak musiał się rozmyślić, bo oczko przygasło, a z głośniczka nie dobiegł nawet najcichszy dźwięk. Tymczasem zabrzmiał wibrujący motyw muzyczny wzywający na zajęcia.

Parę godzin później, po powrocie z posiłku w kabinie regeneracyjnej, polegającego na absorpcji odpowiedniej porcji pastylek i promieniowania, Din daremnie próbował wypatrzeć przyjaciela. Max nie pojawił się ani podczas meczu piłki grawitacyjnej (był znakomitym napastnikiem), ani podczas kolejnej pogadanki.

Wreszcie, kiedy wszystkie próby odszukania przyjaciela zawiodły, Din podszedł do wychowawcy, chudego wyschłego osobnika przypominającego bardziej Aparat Edukacyjny niż żywego człowieka i zapytał go o prymusa. Belfer w pierwszej chwili jakby nie dosłyszał pytania,

jego oczy nie zmieniły wyrazu, może ledwo dostrzegalnie drgnęły mu szczęki. Chłopak powtórzył:

– Gdzie jest Max, panie profesorze?

Wychowawca zaczął się dziwnie rozglądać, chrząkać, gdy nagle odezwał się jego Odbiorniczek.

– Został przeniesiony do innej, wyższej grupy – głos był ciepły, kojący, wiarygodny, pomimo lekko metalicznego zabarwienia.

– Ale jaki był powód tego przeniesienia? I dlaczego nie mogliśmy się nawet z nim pożegnać? – pytał Din, a ponieważ odpowiedzi nie było, ciągnął dalej: – Chciałbym się dowiedzieć, na jak długo i dokąd go przeniesiono? To przecież mój przyjaciel. W czasie przeznaczonym na relaks chciałbym go odwiedzać.

– Odwiedzin na dziś się nie planuje, pogadamy o tym kiedy indziej, chłopcze – tym razem odezwał się sam nauczyciel. Poruszył przy tym głową tak, jakby chciał dać znak nastolatкови, żeby się oddalił. Din nie miał zamiaru tak szybko rezygnować, jednak właśnie otoczył go wesoły krąg kolegów.

– Chodź prędko! Dają nową, świetną szołowiznę!

Ruszył w stronę oglądnika. Śledząc zwariowane przygody serialowych bohaterów, zapomniał o dręczących go pytaniach.

Dwa dni później przypadała pierwsza sobota miesiąca i, jak zwykle, szkoła skierowała go do domu na tak zwaną „dobę familiaryzacyjną”. Nikt nie przepadał za tym dniem i Din nie należał do wyjątków. W nauczalni, wśród kolegów, unosił go nieustanny strumień zabaw, z rzadka zakłócanych jakimiś ćwiczeniami, natomiast w sześcianie mieszkalnym nieodmiennie spotykał dwójkę apatycznych osobników, nazywanych ojcem i matką, z którymi nie łączyło go zupełnie nic.

– No i jak twoje postępy w nauce? – zadawał rytualne pytanie ojciec.

Parę lat wcześniej syn natychmiast zaczynał informować go o aktualnych współrzędnych numerycznych, ale kiedy podrośł, zauważył, że „stary”, cały czas zajęty śledzeniem programów w oglądniku, w ogóle nie czeka na odpowiedź, toteż ograniczył się do równie szablonowych odbaknień – nieźle, jako tako, pomalutku.

Matka bywała nieco serdeczniejsza, wstawiała z pufy, całowała chłopca, powtarzając niezmiennie:

– Jak urosłeś, jak zmężniałeś.

Din obliczył, że gdyby to stwierdzenie odpowiadało prawdzie, w ciągu tych kilku lat powinien osiągnąć rozmiary olbrzyma. Nie robił jednak żadnych uwag, tylko dołączał do rodziców i oddawał się śledzeniu trójwymiarowych obrazów przez bite 24 godziny „familiaryzacji”.

W ów sobotni poranek wsiadł do ekspresowej pneumii i ruszył w stronę rodzinnego sześcianu. Siedząc sam w elastycznym wnętrzu pojemnika, oderwał na moment myśli od turnieju piłki grawitacyjnej (rozgrywanego w komorze ze sztuczną nieważkością). Znowu przypomniał sobie Maxa. Uruchomił Indywidualny Odbiornik, który mógł również spełniać funkcję wideofonu i podał numer ojca przyjaciela. Coś zachrobotało, po czym rozległ się metaliczny głos „anioła stróża”:

– Nie ma takiego numeru, nie ma takiego numeru!

Pneumia dostarczyła Dina wprost do sześcianu mieszkalnego. Wszedł energicznie, oczekując pocałunku matki i standardowej odżywki ojca, zamiast tego jednak uderzyła go zdumiewająca cisza. Oglądnik był wyłączony. Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów matka nerwowo spacerowała po pomieszczeniu. W ogóle nie zauważyła przybycia syna.

- Dzień dobry, mammo!
- A dzień dobry, dzień dobry – musnęła go ustami w policzek.
- Nie powiesz, że urosłem i zmężniałem?
- Co? Aha, tak, rzeczywiście.

Zaskoczony jej psychiczną nieobecnością Din zaczął dopytywać się, czy coś się stało? Pytanie było dosyć głupie, bo co mogło się stać w idealnie zaprogramowanym świecie? Toteż ukonkretnił je: gdzie podział się ojciec?

– Niedługo powinien być, na pewno niedługo. – Jak gdyby obudzona z długiego snu stanęła przed chłopakiem i obejrzała go uważnie.

– Robisz się bardzo podobny do Jana. Był chyba tylko trochę niższy, kiedy poznałam go dwadzieścia lat temu.

Młody człowiek ze zdumieniem skonstatował, że po raz pierwszy słyszy od matki coś na temat czasu, dotychczas poruszali się wyłącznie w teraźniejszości.

– Dwadzieścia lat temu zbulwersowaliśmy wszystkich, zakochując się bez oczekiwania na dobór programowany.

Być może dowiedziałby się znacznie więcej, gdyby nie wysoki dźwięk zwiastujący przybycie pneumii.

Wrócił ojciec. Twarz miał rozpromienioną, pełną satysfakcji.

– Jednak awans! I to jaki! – wołał. – Trochę obawiałem się tych najnowszych testów, tymczasem poszło mi znakomicie, a ponadto po uwzględnieniu mojej dotychczasowej postawy i osiągnięć, zostałem zweryfikowany dodatnio. Od dziś, kochani, nie nazywam się Jan 23261345, tylko... Przeczytajcie sami – wskazał na plakietkę identyfikacyjną, wprasowaną w czoło, podobnie jak u każdego dojrzałego osobnika.

– Gratulacje, Janie Milionie! – zawołał pierworodny.

Jak za dotknięciem laski czarnoksiężskiej prysł nastrój zdenerwowania, Jan Milion włączył nawiew fluidów szampańskich (regulamin zezwalał na korzystanie z nich najwyżej cztery razy do roku, podczas najważniejszych świąt i uroczystości) i po chwili cała trójka znajdowała się na rozkosznym rauszu. Nie bez powodu – awans stanowił olbrzymi skok, o ponad dwadzieścia milionów miejsc w społeczeństwie. Pani Janowa pomyślała nie bez satysfakcji o swych sąsiadkach z sześcianów 23261344 i 23261346:

– Popękają z zazdrości!

Oczywiście zdawała sobie sprawę, że z awansem wiązą się dogłębne zmiany – w ciągu trzech dni trzeba będzie przenieść się na wyższą kondygnację, do sześcianu, a może prostopadłościanu o zupełnie innych (oczywiście podwyższonych) gabarytach. Na pewno też otrzymają zwiększone przydziały ruchomości, energii. Gotowa była natychmiast zabrać się za pakowanie.

– Na wszystko znajdzie się czas – powiedział ojciec – dziś korzystając, że jest z nami Din, zrealizujemy zaległy talon turystyczny.

– Co takiego? – zaciekawił się młody człowiek.

– Bon uprawniający do wycieczki na taras widokowy znajdujący się nad naszym megablokiem. Przechowywałem go właśnie na taką, wielką okazję.

– Wspaniale! A powiedz, tato, byłeś kiedykolwiek na zewnątrz megabloku?

– Owszem, w dzieciństwie byłem na tarasie razem z rodzicami. Później, przyznam się, nigdy mnie tam specjalnie nie ciągnęło. W megabloku jest tysiąc poziomów.

– I wszystkie prawie identyczne – zauważyła matka.

Korzystając z tego, że oglądnik był wyłączony, Din zaczął zasypywać rodziców pytaniami. Rychło dowiedział się, że swój awans ojciec zawdzięcza częstym rozrywkom intelektualnym,

stanowiącym jego hobby (do życia były przecież zupełnie niepotrzebne), a także ćwiczeniom gimnastycznym w komorze treningowej (na ich piętrze przypadała jedna na 100 sześciątów). Ktoś mógłby pomyśleć, że dzięki swemu hobby Jan posiadał całą masę znajomych. Było inaczej, nie zdarzyło się dotąd, żeby ktoś ćwiczył razem z nim. Jediną istotą, z którą czasem wymieniał grzecznościowe „dzień dobry”, był automat, dozorca aparatury sportowej. Podobnie było z kontaktami międzyludzkimi. Rodzina nie należała do towarzyskich. Mimo że oglądnik pozwalał na natychmiastową łączność wizyjną z każdym mieszkańcem świata, Jan sporadycznie łączył się ze swym bratem, który jako mniej uzdolniony pozostał gdzieś na dolnych piętrach supermiasta. Utrzymywali też, głównie dzięki pani Janowej, kontakt z sąsiadami z prawa i lewa, poza tym był jeszcze zwierchnik, burkliwy sześciocyfrowiec, który pojawiał się w ich oglądniku raz na miesiąc i wydawał dyspozycje, oraz stary kolega z nauczalni imieniem Piotr. Na nich lista znajomych się kończyła.

Tymczasem rozmowa zeszła na temat numeru. Din zdawał sobie sprawę, że porządek numeryczny stanowi esencję ich świata, nigdy jednak nie zastanawiał się nad praktycznymi implikacjami tego faktu. Wiedział, że z chwilą uzyskania pełnoletności będzie musiał przejść szereg testów psychofizycznych, które ustalą jego wymierne i niepodważalne miejsce w społeczeństwie, zgodne właśnie z numerem porządkowym. Numerem, który będzie mógł ulec zmianie najwcześniej po roku, to znaczy po następnym teście. Dopiero teraz ojciec uświadomił mu, że właśnie ów numer będzie decydował o wszystkim w życiu: przydziale pracy, mieszkaniu, jakości zaopatrzenia, prestiżu.

– Od przeszło stu lat, synu, wszyscy na świecie posiadają swe numery porządkowe.

Obecnie od 39 miliardów do pierwszego.

– A kto jest Pierwszym? – natychmiast zainteresował się Din.

– Skąd mogę wiedzieć, w ogóle tylko raz w życiu widziałem trzycyfrowca i to w oglądniku, mój szef jest zaledwie sześciocyfrowcem.

– Czyli kiepsko wyładowałeś?

– Mogło być gorzej, na maturze uzyskałem status ośmiocyfrowca i to było całkiem niezłe.

Ostatecznie debile dostają 11 cyfr.

Tu wtrąciła się matka:

– Jesteś zdolny, Din, jeśli będziesz równie pracowity i posłuszny, być może dorobisz się pięciu cyfr. Byłabym taka dumna!

– Jeśli będę posłuszny komu?

Jan Milion z przyzwyczajenia popatrzył na Indywidualny Odbiornik i zaraz zmienił temat. Zaczął opowiadać o dzisiejszych testach, ich rodzajach i swoich osiągnięciach.

– A czy można awansować w inny sposób? – zapytał nastolatek.

– Na tym polega genialność naszego systemu, że nie. Pełna bezstronność, wymierność i doskonałość. Żadnych luk. Nawet miejsce w kolejce po przeszczepie zależy od numeru porządkowego.

– Podobno pierwsza setka ponumerowanych jest praktycznie nieśmiertelna – wyrwało się matce.

– I tak chyba jest najsprawiedliwiej. Pomyśl, synu, przez wiele epok świat próbował walczyć z przyrodzoną nierównością, ludzie walczyli o swoje pozycje, o władzę. Intrygowali, mordowali się i przeżywali frustracje, ponieważ prawie każdy był niezadowolony z miejsca, jakie zajmował w społeczeństwie i wiecznie uważał się za pokrzywdzonego. Wspomniane miejsca zależały od urodzenia, od pieniędzy albo od własnej siły przebicia. Owo chroniczne niezadowolenie było powodem wojen i rewolucji; dlatego wynalazek intelektualnej numeryczności stał się błogosławieństwem naszego gatunku. Dziś każdy, bez żadnych

niedomówień, bez protekcji, zna swoje miejsce wyznaczone przez wynik w testach. I wie, że zajmuje je sprawiedliwie. Ta świadomość od przeszło stu lat zapewnia nam stabilizację, spokój i szczęście.

Chłopak słuchał z wypiekami na twarzy. Z ojcem gadało się lepiej nawet niż z Maxem.

– Skąd o tym wszystkim wiesz, tatusiu? – wykrztusił wreszcie.

– Z historii.

– Z czego?

Przez głowę Miliona przebiegła myśl, że za dużo mówi i niepotrzebnie mąci chłopakowi w głowie. Przed piętnastu laty historię, jako dziedzinę niedoskonałą numerycznie, wycofano z programu nauczania. Jej elementy wypłeniono również z literatury i sztuki, która odtąd realizowała się w beczasowej przestrzeni. Czy nie było to słuszne? Sam, kiedy opuszczał nauczalnię wyedukowany jeszcze według starego programu, miał trudności z dostosowaniem się do zasad. Dodatkowo skomplikowała mu życie sprawa z matką, w której zakochał się na przekór regulaminowi; niewiele brakowało, a zesłano by go na samo dno. Do dziesięciocyfrowców.

– Opowiedz mi jeszcze o historii, tato!

– Innym razem, obiecałem wycieczkę, będzie więc wycieczka. Teraz wezwę pneumię.

Historia, jak słusznie powiedzieliby w oglądniku, to „Wykaz nieprawidłowości w regulaminowym rozwoju populacji ludzkiej”.

– Podzielasz tę opinię?

– Nie mam nic do dodania. Najważniejsze to wiedzieć, że żyjemy w najdoskonalszym ze światów, w którym syn pierwszego może być ostatnim. I na odwrót, bez klik, układów, koterii. Jedynie na podstawie własnych zalet intelektualno-fizycznych.

Zajechała pneumia pospieszna, Din jednak nie przestawał pytać.

– A właściwie dlaczego mama nie ma żadnego numeru?

– Kobietom nie przysługują numery – odparła matka – posiadamy jako oznacznik jedną z 28 liter, ja mam B. Litery te oznaczają różny stopień przydatności rodzinnej. Sam dobór małżeństw aranżuje testator genetyczny.

Tu urwała i westchnęła. Zresztą Din zaabsorbowany był już czym innym. Odbiciem ojca w srebrzystej ścianie pneumii. Szczególnie zabawnie wyglądała jego plakietka – zamiast 1000000, odbijało się 0000001!

Dojechali na szczyt dokładnie w momencie, gdy wyświetlacze umieszczone na ścianach pneumii wska-zywały godzinę 13:20 ósmego czerwca 133 roku ery numerycznej.

Taras, przykrywający tysiącpiętrowy megablok, zamiesz-kiwany przez miliard ludzi, rozciągał się bezkresnie w każdym kierunku. Pokryty szachownicą gładkich dwubarwnych płyt wyglądał na całkowicie pusty. Dopiero mocno wysiliwszy wzrok, wypatrzyli w oddali grupkę takich samych szczęśliwców jak oni. No cóż, talony spacerowe dostawało się dwa razy w życiu, a widocznie nie wszyscy z nich korzystali.

Din spodziewał się, że ujrzy nad głową niebo, bezkresny kosmos, o którym tyle słyszał opowieści w oglądniku. Otrzymał półgodzinny seans, przegląd pór roku i rodzajów pogody. Doświadczył więc letniej burzy i małej zamieci ze sztucznym śniegiem, przez chwilę otulała ich mgła, spędzona suchym uderzeniem sirocca. Po jakimś kwadransie niebo ściemniało, ukazał się księżyc i konstelacje gwiazdne. Nim jednak przyjrzeni się na dobre wirującej ekliptyce, znów zapaliły się światła brzasku.

Zdumienie spotkało się z rzetelną informacją Indywidualnych Odbiorników. Nieboskłon nad nimi był sztuczny, a to, co oglądali, stanowiło elementy stałego pokazu.

– Ale dlaczego nie widzimy prawdziwego nieba? – zapytał Din.

– Z oszczędności – padła metaliczna odpowiedź. – Ze względów ekonomicznych cała powierzchnia naszej planety pokryta jest koloniami jadalnych glonów, z których produkowane są pastylki żywnościowe. Resztę wolnego miejsca wypełniają baterie słoneczne. Teraz proponuję spacer, ale przypominam, że nie ma tu już nic więcej do zobaczenia, a zbyt długie przebywanie na tarasie może wywołać agorafobię.

Rozdział II

Po spacerze Jan Milion musiał pożegnać swego jedynaka. Akurat wypadały mu trzy godziny pracy, będącej raz na dziesięć dni prawem i zaszczytnym obowiązkiem pełnoletniego mieszkańca megabloku. Właściwie przy daleko posuniętej automatyzacji i nadprodukcji myślących robotów pracę ludzi można by uznać za zbędną, a jeśli pozostawiono ją w szczątkowym wymiarze, to chyba po to, aby stwarzać obywatelom wrażenie, że są jeszcze do czegoś potrzebni.

Sporadyczne zajęcia naszego bohatera, przynajmniej przed awansem, polegały na przeglądaniu kilometrowego odcinka tunelu wentylacyjno – energetycznego na poziomie 324b. Jedynym problemem, z którym musiał się tam uporać, były myszy. Sprawę przecieków, pęknięć, konserwacji błyskawicznie załatwiała myślące roboty. Wobec cwanych stworzonek okazywały się jednak zupełnie bezradne. Zastosowanie trucizn w tunelu wentylacyjnym było wykluczone, zresztą gryzonie wykazywały niezwykłą odporność na wszelkie trucizny i w efekcie skutkowało jedynie fizyczne unicestwienie – główne zajęcie Jana Miliona.

Włazem przeciwpożarowym przedostał się do tunelu. Z konserwacyjnej szafki otwierającej się wyłącznie na początku i końcu jego dyżuru wyciągnął pas nośny, zaopatrzony w małe silniczki grawitacyjne, pozwalające na poruszanie się z dużą szybkością po korytarzach i sztolniach. Zapiął klamrę, potem wydobył z pokrowca miotacz dezintegracyjny, włączył grawitorki i pomknął w głąb tunelu. Silne reflektory umieszczone na hełmie pozwalały śledzić przestrzeń przed sobą, obramowaną przez dziesiątki rur, kabli i przewodów, stanowiących układ nerwowy, krwionośny i limfatyczny megabloku. Chociaż Jan Milion pracował kilkanaście lat w sekcji dozoru konserwacyjnego, nigdy dotąd nie dotarł do końca tego labiryntu. Nigdy nie znalazł się na prawdziwej powierzchni ziemi, nie zstąpił też do najniższych poziomów, gdzie działały automatyczne siłownie i fabryki. Dobrze znał tylko kilkanaście najbliższych poziomów mieszkalnych, tworzących powtarzającą się wersję budowlanego tortu – wokół modułów mieszkalnych biegły tunele pneumii, korytarze sanitarne, klimatyzacyjne, promiennikowe. Na każdym poziomie z dużą regularnością rozmieszczone były sale ćwiczeń, baseny i tory spacerowe, zazwyczaj z jednym drzewem i kilku rachitycznymi krzewami; na dziesięć tysięcy sześcianów przypadała też jedna nauczalnia i lekarnia.

Chcąc odwiedzić muzeum (tak, ostało się jeszcze coś takiego) czy ogródek zoologiczny, trzeba było wybrać się na wyższe kondygnacje, to jednak wymagało uprzedniego zgłoszenia Indywidualnemu Odbiornikowi. Podobno były też biblioteki, ale Jan nie słyszał o nikim, kto by z nich korzystał, skoro w minutę po złożeniu zamówienia na ekranie oglądnika w sześcianie prywatnym pojawiał się zamówiony tekst, reprodukcja, mapa czy akt urzędowy. Podobnie można było zamówić sobie każdy film, dowolny fragment spektaklu zarejestrowanego na dowolnym nośniku czy też jakiekolwiek wydarzenie z przeszłości, przechowywane w archiwum kronik. Z tym, że chyba mało kto korzystał z wymienionych udogodnień. Będąc młodszym, Jan parę razy prosił o filmy dokumentalne sprzed ery numerycznej, ale trzykrotnie przysłano mu widoczki z rezerwatu dzikich zwierząt, parę dokrętek etnograficznych o życiu dawnych ludów pierwotnych, a gdy bardziej sprecyzował swe zainteresowania, oglądnik wyświetlił napis: dokumenty uszkodzone, nie nadają się do domowego odtworzenia.

Bez przeszkód wykonywał swoje zadanie, gryzonie, wymiatane strugami światła, piszcząc usiłowały kryć się w ponurym galimatiasie przewodów, ale zręcznie unicestwiał je dezintegratorem.

Mniej więcej po półgodzinie dotarł do krzyżówki ze sztolnią LXXIV. Zrobiło się przestronniej, myszy ani śladu, zawiesił miotacz na ramieniu, spowolnił grawitandy i miękko osiadł na półce przy niszy, która ongiś, w czasach gdy budowano blok, musiała być zasilalnią, czyli, jak mawiali inżynierowie, „stołówką dla robotów”. Wszedł głębiej, chcąc na czymś przysiąść i przegryźć pigułkę relaksującą, gdy naraz bardziej poczuł, niż zobaczył, że w niszy ktoś już jest.

Zrobiło mu się nieswojo; przez wszystkie lata pracy nie spotkał na swej drodze żadnego człowieka, praca była znakomicie zaprogramowana tak, że nie istniała możliwość jakiegokolwiek przeszkadzania sobie w zajęciach.

– Czyżby robot?

Oświecił niszę, ale intruz musiał zniknąć za jednym z potężnych słupów nośnych. Przez moment zastanawiał się, czy nie zwrócić się do Odbiornika, ale natychmiast zorientował się, że tu, na krzyżówce, istnieją zbyt silne pola zakłóceń, aby choćby marzyć o kontakcie. I naraz zza filaru doleciał szept:

– Wejdź głębiej, Milionie.

Jan uniósł na wszelki wypadek miotacz. Czuł mieszaninę strachu i ciekawości.

– Odłóż broń, Milionie, jestem twoim przyjacielem, czekałem na ciebie.

Za filarem siedział starszy mężczyzna o siwych włosach, z dziecienną latarką w ręku. Nie miał ani pasa grawitacyjnego, ani dezintegratora. I, co najbardziej szokujące, oczko Indywidualnego Odbiornika na jego szyi zaklejone było plastrem. Czyżby w świecie bezkryminalnym znalazł się jakiś przestępca?

– Śmiało, śmiało – uśmiechnął się siwowłoso – musimy pogadać.

– Ale... – Jan zawahał się – ja nie wiem, czy mi wolno.

– A kto panu zabroni, jakiś elektryczny pastuch? A może sam bezczelny, wynoszący się ponad ludzi, GLOK?

Na dźwięk imienia, którego nie wymieniano nawet w myślach, Milion skurczył się i zamarzył o ucieczce. Miał przed sobą jakiegoś wariata albo gorzej – zbrodniarza. Tymczasem potencjalny zbrodzień wyciągnął szczupłą rękę:

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI